

Grażyna Halkiewicz-Sojak\*

# Pamięć rozpięta między Lwowem a Toruniem.

## Fragmenty *Dziennika* Artura Hutnikiewicza

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/LC.2016.060>

Kto zechce kiedykolwiek dowiedzieć się o mnie czegoś więcej, będzie mógł zajrzeć do tego dziennika, o ile ocaleje on po moim bezpotomnym odejściu<sup>1</sup>.

**D**ziennik Artura Hutnikiewicza ocalał i otwiera szeroką perspektywę na zewnętrzną i wewnętrzną biografię autora, który zaczął zapisywać swój czas w formie w miarę systematycznie prowadzonych notatek w 1973 r. i kontynuował ten zwyczaj utrwalania współczesności przez ponad trzydzieści lat. Profesor wypełnił refleksjami i wspomnieniami 52 60-kartkowe zeszyty formatu A5; zapiski w ostatnim z nich, opatrzone datą 14 października 2004 r., urywają się na 15. stronie. Ten obszerny rękopis był przez autora systematycznie przepisywany na maszynie z myślą o przyszłej edycji. Powstały w ten sposób maszynopis składa się z 2278 stron formatu A4 i obejmuje okres blisko trzydziestu lat (1973–2002). Jego treść odzwierciedla intencje memuarysty, o czym pośrednio świadczą ślady autorskiej korekty sporządzonej ołówkiem, i dlatego to właśnie wersja maszynopisu, a nie autografu, stanowi podstawę wydania publikowanych fragmentów.

Dziennikowa geneza i struktura nie wyczerpują charakteru pozostawionego przez autora dzieła. Wiele tutaj retrospekcji: z czasów dzieciństwa i młodości, przeżytych w międzywojennym i okupowanym Lwowie, z okresu poszukiwania miejsca po repatriacji – najpierw

\* Profesor doktor habilitowana, historyk literatury w Instytucie Literatury Polskiej UMK. E-mail: [grahas@umk.pl](mailto:grahas@umk.pl).

<sup>1</sup> Z zapisków Artura Hutnikiewicza umieszczonych pod datą 4 października 1999 r.

w Wąlczu, a potem w Toruniu. Znajdziemy tutaj także subiektywną kronikę Uniwersytetu Mikołaja Kopernika pisaną przez współtwórcę Uczelni. Niektóre, nieliczne wprawdzie, fragmenty mają formę literacką krótkich opowiadań; inne – nieomal krytycznoliterackich artykułów. Zmienność konwencji wypowiedzi sprawia, że rzecz jest rozpięta między dziennikiem a pamiętnikiem z akcentami eseistycznymi i reporterskimi. Profesor nie stroni od oceniania zdarzeń, książek i ludzi; często robi to w sposób kategoryczny, ujawniający i pozytywne, i negatywne emocje piszącego. W całym *Dzienniku* powracają pewne tematy: lwowskie wspomnienia, uwagi na marginesach lektur, sprawy toruńskiej polonistyki, rytm polonistycznego życia naukowego w Polsce, komentarze do życia politycznego w kraju i na świecie, życie prywatne, kronika spotkań towarzyskich, relacje z podróży. Splot tych różnych wątków dokonuje się w rytmie swobodnych skojarzeń wywołanych obserwacją, refleksją, wspomnieniem. Gdyby edytor *Dziennika* chciał wyodrębnić jeden z tematów, miałby kłopot z jego precyzyjnym oddzieleniem od pozostałych, co nie znaczy jednak, że takich fragmentów poświęconych poszczególnym tematom nie można odnaleźć i wydawniczo przygotować w dosyć zwartym kształcie<sup>2</sup>. Tutaj staram się jednak pokazać raczej różnorodność materii, niż wydobyć monograficzny temat. W prezentowanym wyborze uprzywilejowane miejsce zajmuje początek biografii utrwalonej w zapiskach i pierwszy rok dziennikowej twórczości Autora; pozwala to z jednej strony odsłonić motywacje memuarysty, z drugiej – oświetlić źródła Jego wyborów i postaw. I tak na przykład wspomnienia z dzieciństwa i wczesnej młodości ujawniają sposób rekompensowania sobie niepełności domu – duchowym domem staje się szkoła zachęcająca do uczestnictwa w kulturze wysokiej i w życiu społecznym; szkoła, której istotną rolę było wychowanie moralne, patriotyczne i obywatelskie. *Dziennik* ujawnia, że to doświadczenie współkształtowało późniejszą postawę Profesora wobec spraw związanych z edukacją, traktowanych z powagą i poczuciem odpowiedzialności za poznawcze i etyczne rezultaty kształcenia, ale zarazem nacechowaną życzliwym zainteresowaniem późniejszymi losami wychowanków. Lata szkolne i uniwersyteckie uformowały także polityczne wybory piszącego, który do końca życia pozostał wierny tradycji piłsudczykowskiej, nawet jeżeli w latach 90. upatrywał niekiedy jej kontynuatorów nie w tych środowiskach, którym była ona rzeczywiście bliska.

Na charakter zapisków wpływała także zachłanna lektura cudzych wspomnień, do której Profesor przyznawał się od razu w pierwszej dziennikowej notatce, oraz krąg zainteresowań badawczych. Jako monografista życia i twórczości Stefana Żeromskiego analizował dzienniki pisarza, a jako autor syntezy literatury Młodej Polski uznawał memuarystykę za nieocenione źródło dla odtworzenia kolorytu i klimatu intelektualnego epoki<sup>3</sup>.

<sup>2</sup> Autor dziennika sam np. wyodrębnił i przygotował do publikacji swoje wspomnienia szkolne: A. Hutnikiewicz, *Szkoła (Kartki z dziennika)*, „Tematy. Toruński Almanach Literacki III” 1982, s. 91–123. Wybór fragmentów dokumentujących powojenną drogę Profesora ze Lwowa do Torunia przygotował do druku Janusz Kryszak (*Dziennik; fragmenty*, w: A. Hutnikiewicz, *Z pism rozproszonych*, wybrał i komentarzami opatrzył J. Kryszak, Toruń 2006, s. 103–135), a Bogdan Burdziej wydobyl fragmenty związane z obrazem Lwowa w zapiskach z 1973 r.: B. Burdziej, *Lwów w Dzienniku (1973) Artura Hutnikiewicza*, w: A. Hutnikiewicz, *Miasto, któremu zawdzięczam wszystko*, w: *Modernistyczny Lwów. Teksty życia, teksty sztuki*, pod red. E. Paczoskiej, D. Osińskiego, Warszawa 2009, s. 426–482. Ponieważ w każdym wyborze trudno uniknąć odniesień do początków biografii i początku *Dziennika*, niektóre fragmenty są zbieżne: z wyborem Janusza Kryszaka częściowo zapiski z 1, 2 i 12 stycznia 1973 r.; z wyborem Bogdana Burdziej – częściowo zapiski z 1, 2, 12 stycznia 1973, 20 kwietnia 1973 i 16 czerwca 1973 r.

<sup>3</sup> Por. A. Hutnikiewicz, *Młoda Polska*, Warszawa 1994; tutaj zwłaszcza rozdział *Literatura faktu (pamiętniki, dzienniki, listy, reportaże z podróży)*.

Nasuwa się pytanie o czynnik scalający tę obszerną całość. Jest nim, co zresztą oczywiste w przypadku dziennika, wyrazista osobowość piszącego, którego uwaga kieruje się jednak raczej na „świat” niż na autorskie „ja”. Intymne wyznania są powściągliwe, wyraźnie manifestowana jest natomiast aksjologia, z perspektywy której Profesor ocenia wydarzenia, sytuacje, ludzi. Z dziennikowych zapisków wynika, że jej kształt określiły imponderabilia przyjęte w młodości. Ujawnianie uczuć niezwiązanych ze zjawiskami pozostającymi w konflikcie z przyjętym kodeksem wartości lub takimi, które ów kodeks utwierdzają, nie jest tutaj częste. Autor oszczędnie dzieli się swoimi egzystencjalnymi doświadczeniami i refleksją na ich temat, a jeśli już to robi, to najczęściej dotyczy to bądź sytuacji granicznych – przede wszystkim doświadczenia śmierci osób bliskich i znajomych oraz własnego lęku przed umieraniem lub – medytacji inspirowanej pięknem życia i sztuki. Nurt intymistyki jest wyraźniejszy w początkowych zapiskach, kulminuje w roku 1978 w czasie choroby żony, jej śmierci i okresu żałoby. Później stopniowo wygasa; pamięć i uwaga piszącego coraz rzadziej goszczą w domu i skupiają się na własnym życiu wewnętrznym, częściej próbują oświetlać i objaśniać świat. Czasownik „oświetlać” w ostatnim zdaniu został użyty nieprzypadkowo; wywołało go skojarzenie z metaforą szeroko obecną w badaniach historycznoliterackich. Jeżeli przywołać obraz zwierciadła i lampy Meyera H. Abramsa<sup>4</sup>, to można zauważyć, że *Dziennik* w zamiśle Hutnikiewicza miał być raczej zwierciadłem odbijającym kształt rzeczywistości niż lampą rzucającą własne światło na jej obraz. Miał być, ale ciśnienie wyznawanych przez piszącego wartości sprawiło, że fragmenty świata są ustawicznie oglądane właśnie w blasku aksjologicznej lampy. Na jej charakter i genezę w decydujący sposób wpłynęło biograficzne doświadczenie – jednostkowe i pokoleniowe – i dlatego może najlepiej w ten temat wprowadza *Moja krótka autobiografia* stanowiąca i autonomiczny fragment, i integralną część *Dziennika*. Profesor napisał ją na potrzeby autoprezentacji z okazji przyjęcia go w poczet członków Polskiej Akademii Umiejętności i włączył później do swoich wspomnieniowych zeszytów<sup>5</sup>. Ze względu na lapidarny styl, informacyjną precyzję i emocjonalny dystans może stanowić ona rodzaj autorskiego wstępu do prezentowanych tu fragmentów *Dziennika*. Od 1980 r. w zapiskach Profesora zmienia się rozłożenie akcentów i na pierwszy plan wysuwa się tematyka polityczna. Autor wspomnień spędził sierpień 1980 r. w Trójmieście i z bliska towarzyszył wydarzeniom, które prowadziły do powstania „Solidarności”. To doświadczenie wyostrzyło spojrzenie piszącego i uczyniło go uważnym obserwatorem i uczestnikiem politycznych przemian. Część *Dziennika* obejmująca ostatnie ćwierćwiecze życia autora zasługuje na odrębne przypomnienie i opracowanie. Niech zatem publikowane tutaj fragmenty będą zarazem zapowiedzią dalszego ciągu. Burząc chronologię, zamykam jednak wybór notatką z kwietnia 2000 r., by w puencie wybrzmiała afirmacja życia trudnego, ale jednak dopełnionego.

<sup>4</sup> M. H. Abrams zastosował tę metaforę do opisu przemian w krytyce literackiej w XIX w. (tegoż, *Zwierciadło i lampa. Romantyczna teoria literatury a tradycja krytycznoliteracka*, tłum. M. B. Fedewicz, Gdańsk 2003), ale jest ona na tyle pojemna, że może zbliżać także do rozumienia strategii pisarskich w ogóle.

<sup>5</sup> Artur Hutnikiewicz został członkiem PAU w 1995 r.

# Artur Hutnikiewicz

## *Moja krótka autobiografia*

### (wybór)

Urodziłem się dnia 12 stycznia 1916 r. we Lwowie przy ulicy Ormiańskiej 13 w domu dyplomowanej położnej Teofili Cepnik o godz. 23.15. Moją matką była Józefa Hutnikiewicz, urodzona we Lwowie 15 lutego 1887 r. jako córka Bazylego i Salomei Hutnikiewiczów. Tylko te dane personalne swoich rodziców zdołała ona zapamiętać, osierocona przez nich w 6. roku życia i oddana przez nieznaną jej osobę do Zakładu dla sierot pod wezwaniem św. Kazimierza przy ulicy Teatyńskiej we Lwowie, prowadzonego przez siostry Szarytki, siostry Miłosierdzia. Przebywała w nim do 21. roku życia, odbierając rozszerzone wykształcenie podstawowe i przysposobienie do hafciarstwa, które stało się podstawą jej późniejszej działalności zawodowej. Przez całe czynne życie Matka moja prowadziła swoją własną pracownię haftu wszelkiego rodzaju szat liturgicznych i paramentów kościelnych, a także chorągwi i sztandarów, współpracując z takimi firmami jak „Ryngraf” przy Placu Trybunalskim we Lwowie i „Biblioteka Religijna” związana bezpośrednio z Kapitułą Arcybiskupstwa Łacińskiego. Wychowywałem się więc od dzieciństwa w atmosferze ustawicznego kontaktu ze sztuką, co prawda stosowaną, ale na wysokim poziomie<sup>6</sup>.

Moim ojcem był Artur Bartosz, urodzony w roku 1863 w Lewoczy na Słowaczczyźnie, w rodzinie kupieckiej jako syn Tomasza i Julii z Sowińskich. Jako młodzieniec wywędrował z owej zagubionej w Karpatach słowackiej Lewoczy [...] i przeniósł się do stołecznego, galicyjskiego Lwowa, gdzie zgodnie z tradycją rodzinną wstąpił do zawodu kupieckiego. W roku 1903, mając już 42 lata, ożenił się z panną Wandą Koczyńską [...]. Z tego związku poczęło się troje dzieci, z których dwoje zmarło przed urodzeniem i dopiero to trzecie, Jagę/Jadwigę, moją jedyną przyrodną siostrę, ominęła szczęśliwie owa skaza rodzinna, dzięki czemu doczekała lat późnych [...].

Po kilkuletniej praktyce zawodowej ojciec mój odkupił od swego dotychczasowego chlebodawcy część interesu i otworzył swój własny magazyn porcelany i szkła w samym centrum miasta, na rogu ulic Kopernika i Legionów, *vis a vis* Pasażu Mikołascha. Z czasem dorobił się okazałej kamienicy przy ul. Długosza 33, wchodząc w środowisko ówczesnego mieszczaństwa do patrycjatu lwowskiego jako obywatel królewskiego stołecznego Miasta Lwowa, właściciel poważnej kupieckiej firmy i nieruchomości, a także społecznik, zaangażowany w działalności patriotycznej jako członek „Sokoła-Macierzy” i Towarzystwa Szkoły Ludowej.

---

<sup>6</sup> *Dziennik*, s. 1836-1837. Lokalizacja następujących fragmentów będzie podawana w nawiasach pod cytatami jako wskazanie numerów stron maszynopisu lub poprzez wskazanie daty, pod którą został zapisany w *Dzienniku* przywołany fragment.



Józefa Hutnikiewicz, matka Profesora, fot. Archiwum UMK

Latem roku 1914 moja kilkuletnia siostra wyjechała z matką na Bukowinę do babki [...] i tam zaskoczyła je wojna, odcinając od możliwości powrotu do Lwowa z powodu zbyt szybkich postępów ofensywy rosyjskiej. Lwów został zajęty i cała trójka kobiet ruszyła na zachód jedyną otwartą jeszcze drogą przez Węgry i Słowację na Morawy, gdzie zatrzymała się na półtora roku w Odrau, skąd pochodził ich kuzyn Antoni Uwiera. Ojciec mój, który pozostał we Lwowie, powołany został po zajęciu miasta przez Rosjan do miejscowej ochotniczej Straży Obywatelskiej, która miała reprezentować miasto wobec władz okupacyjnych i organizować opiekę charytatywną nad tymi środowiskami autochtonów i uciekinierów, których wojna szczególnie boleśnie dotknęła (s. 1837–1838).

W tym właśnie czasie Matka moja z dnia na dzień znalazła się w sytuacji tragicznej. Straciła przede wszystkim pracę w Zakładzie Hafciarskim p. Bronisławy Pollo przy ulicy Małeckiego we Lwowie [...]. Właścicielka mieszkania, w którym odnajmowała pokój, wypowiedziała jej umowę najmu. Młoda dziewczyna, zupełnie samotna, pozbawiona jakiegokolwiek rodziny, znalazła się dosłownie na bruku, bez najmniejszych środków do życia.

I w tym właśnie momencie, zupełnie przypadkowo, p. Artur Bartosz, powszechnie ceniony obywatel miasta Lwowa i aktywny członek Straży Obywatelskiej spotkał moją Matkę. Miał w tym momencie lat 51, ona 26. Zajął się nią i otoczył opieką, wynalazł skromny pokój i zapewnił jej najelementarniejsze środki do życia. Ponieważ dziewczyna była ładna, przeto „ojcowska” opieka starszego pana zaczęła się szybko przeobrażać w coś więcej. [...] Owocem tego gwałtownego obustronnego uczucia było pojawienie się małego chłopca, któremu na chrzcie św. w Kościele oo. dominikanów nadano po ojcu imię Artur, a na drugie Maria [...].

Pojawienie się moje na tym świecie było raczej niezamierzoną, nieprzewidywalną i niezbyt przyjemną niespodzianką dla obojga partnerów. Nowa sytuacja miała dla obojga kolosalne następstwa. Zaskoczenie dla mojej Matki, która wychowana przez zakonnice w odosobnieniu i zamknięciu klasztornym miała dość naiwne wyobrażenie o obyczajach, prawach i zagrożeniach tego świata. Dla ojca rozpad małżeństwa, całkowitą separację, odbijającą się najfatalniej przede wszystkim na mojej siostrze. [...]



Reklama sklepu Artura Bartosza w „Słowie Polskim”, [Lwów] 1917, nr 382, piątek, 28 sierpnia

Ojciec nie odegrał w moim życiu żadnej właściwie roli. We wczesnym dzieciństwie nie widywałem go nigdy. Łożył jakieś pieniądze na moje utrzymanie i to było wszystko. Dopiero gdy zacząłem chodzić do gimnazjum, zainteresował się tym nieco bliżej<sup>7</sup>.

Odwiedzałem go raz w miesiącu w jego sklepie, ale nie były to wizyty przyjemne, pełne narzekań na cały świat, na moją matkę, na wszystko. Uciekałem stamtąd jak najszybciej, aby powrócić do Mamy, mój dom to była ona. Dbała nie tylko o moje potrzeby materialne, ale i duchowe. [...] Bardzo wczesnie prowadziła mnie do teatrów i muzeów. *Noc św. Mikołaja* Macieja Szukiewicza, *Straszny dwór* Moniuszki, *Uciekła mi przepióreczka* Żeromskiego, to moje najwcześniejsze zapamiętane spotkania ze sztuką teatralną. Już jako dziecko poznałem kolejno wszystkie lwowskie muzea: Jana III Sobieskiego i Miasta Lwowa w Rynku Staromiejskim, Muzeum Sztuk Pięknych i Rzemiosła Artystycznego przy Wałach Hetmańskich, Przyrodnicze Muzeum Dzieduszyckich przy Rutowskiego, *Panoramę Raclawicką* w rotundzie na terenie corocznych Targów Wschodnich [...]. Od najwcześniejszej

<sup>7</sup> Artur Bartosz zmarł w 1929 r. Jego grób znajduje się na Cmentarzu Łyczakowskim.



Grób Artura Bartosza, ojca Profesora, na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie,  
fot. Archiwum prywatne

szych lat Matka kupowała mi książki, które stały się dla mnie najbardziej pożądanym i oczekiwany podarunkiem w każdym dniu św. Mikołaja lub pod choinkę na Boże Narodzenie czy też na moje imieniny w dniu 2 lutego, w święto Matki Boskiej Gromnicznej. Razem z nią uczęszczałem na „inteligenckie msze” w każdą niedzielę do Katedry łacińskiej lub do Kościoła oo. jezuitów przy placu Ducha Świętego. Były to dla mnie pierwsze spotkania z wielką muzyką sakralną, organową, chóralną i solową w wykonaniu najwybitniejszych artystów opery lwowskiej lub lwowskich towarzystw śpiewaczych (s. 1839–1841).

## Dziennik

12 stycznia 1973: [...] Urodziłem się w monarchii austro-węgierskiej jako poddany miłościwie mi panującego cesarza Austrii i apostołskiego króla Węgier, Czech, Galicji i Lodomerii Franciszka Józefa I. Ileż zmian zaszło na świecie w ciągu owych lat 57. Gdy matka moja pochylała się nad tym jedynym swoim dzieckiem, szalała już trzeci rok pierwsza wojna światowa, legiony Piłsudskiego biły się o wolną Polskę. Miałem dwa lata, gdy na Lwów uderzyła nawała ukraińska. Pamiętam armaty ustawione naprzeciw okien naszego mieszkania przy ul. Paulinów 3, na wzgórzach Kaiserwaldu, wymierzone na miasto, kanonadę artyleryjską, przed którą matka moja uciekała ze mną na rękę do sąsiadki, p. Markowskiej, której mieszkanie, po przeciwnej stronie domu, wydawało się bardziej bezpieczne. Rok 1920 i znów

nadciągająca burza od Wschodu, Zadwórze, Polskie Termopile<sup>8</sup>. Co rok odbywał się potem we Lwowie „marsz zadwórzeński” żołnierzy i strzelców dla upamiętnienia bohaterskiej obrony oddziałów polskich, które pod Zadwórzem wstrzymały i odrzuciły zagon kawalerski słynnej konnej armii Budionnego. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień: stoję z matką w ogromnym ogonie przed sklepikiem Kozaczewskiego na górnym Łyczakowie w oczekiwaniu na chleb. Oczy wszystkich zwrócone są ku wylotowi ul. Mącznej, gdzie mieściła się mała piekarenka. I nagle potężne poruszenie, bo zza rogu ukazuje się jednokonny wózek, wiozący upragniony chleb. Zgrabny konik zajeżdża klusem, tanecznie przebierając nogami. Otrzymujemy oboje w przydziale dwa bochenki. Ten chleb to typowy „ersatz”, mąki w nim na lekarstwo, przeważa mieszanina kukurydzy, fasoli i jęczmienia. Ale chwytam go chciwie i drepcząc obok matki obgryzam go dokoła, tworząc wyskubany wianuszek.

A potem? Ciężkie lata powojenne, dary prezydenta Hoovera, dzięki którym miliony dzieci polskich mogły przeżyć czasy głodu i nędzy, ubranka i szerokonose buciki amerykańskie, bardzo słodkie puszkowe mleko kondensowane. Rok 1926, przewrót majowy. Mam 10 lat i niewiele rozumiem, ale słyszę wszędzie dokoła, że w Warszawie się biją i że żołnierze ładujący się na dworcu głównym do pociągów zdążających w stronę stolicy wołali podobno: „jedziemy do Dziadka”. We wrześniu tegoż roku wstępuję do gimnazjum. Jestem w 3 klasie, gdy umiera mój ojciec. Widzę wtedy po raz pierwszy moją przyrodną siostrę. Mam lat 13, a Jaga już 22 i jest młodziutką mężatką. Mały chłopiec uderzony jestem jej fascynującą urodą i jej dobrocią, bo otrzymuję od niej w nagrodę za świadectwo książkę pisarza, którego aktualnie uwielbiam i wynoszę ponad wszystko w literaturze, Karola Maya *Błękitno-purpurowy Matuzalem*.

Początek lat trzydziestych, kryzys światowy, moja matka jest bezrobotna. Nie mając żadnych warunków i najmniejszych podstaw, rozpoczynam w r. 1934 studia uniwersyteckie, by po dwu miesiącach zostać skreślonym z listy studentów z powodu niezapłacenia pierwszej raty czesnego. Zbieram z trudem potrzebną kwotę z lekcji łaciny, jakich udzielam rozmaitym panienkom z lwowskich żeńskich gimnazjów, wpłacam za łaskawym pozwoleniem dziekana i zostaję przywrócony do praw akademickich (s. 7–8). [...]

Dnia 1 września 1922 r. zostałem zapisany do 7-klasowej szkoły powszechnej męskiej pod wezwaniem św. Antoniego jako uczeń klasy I B. Szkoła mieściła się w nowym, obszernym, dwupiętrowym budynku przy ulicy Głowińskiego na Łyczakowie. [...]

Moim wychowawcą był pan Edward Tomaszewski. Aczkolwiek w klasach następnych zniknął z moich horyzontów i dziś nie potrafiłbym określić jego wyglądu, ten pierwszy rok jego opieki nade mną okazać się miał zdarzeniem w całej mojej biografii bardzo znaczącym. Był tym moim nauczycielem, który nauczył mnie czytać i pisać, otwierając mi w ten sposób drogę do mojej polonistycznej kariery. Na zakończenie pierwszego roku mojej edukacji pan Tomaszewski ofiarował mi za pilność w nauce nie jakąś bajeczkę stosowną dla mojego ówczesnie wieku, lecz popularną książeczkę znanego lwowskiego literata i publicyisty Stanisława Schnür-Pepłowskiego pt. *Adam Mickiewicz (1798–1855)*. Była to pierwsza w moim życiu książka o wielkim polskim poecie, którą pochłonąłem z najwyższym zainte-

<sup>8</sup> Zadwórze – wieś położona na przedpolu Lwowa. 17 sierpnia 1920 r. 330 ochotników, głównie uczniów i studentów (Orleńta Lwowskie), dowodzonych przez kapitana Bolesława Zajączkowskiego stoczyło tam śmiertelną bitwę z I Armią Konną Siemiona Budionnego, powstrzymując przez cały dzień natarcie bolszewików na Lwów.



resowaniem jak najciekawszą powieść. I do dziś miewam czasem wrażenie, że był to pierwszy impuls, który zdecydował o mojej dalszej drodze życiowej.

W ówczesnym systemie edukacji można było skończyć 7 klas szkoły podstawowej, co dawało tzw. wykształcenie podstawowe, po którym szło się do jakiegoś konkretnego zawodu, albo wstępowało się już po klasie 4 do ośmioklasowego gimnazjum. [...] W czerwcu 1926 r. poddałem się egzaminowi wstępnemu do najbliższego mi Państwowego Gimnazjum VI im. Stanisława Staszica. Gimnazjum VI było szkołą o profilu klasycznym, z łaciną i greką jako przedmiotami głównymi. Uchodziło za jedną z najwybitniejszych szkół średnich we Lwowie. Uczyło w nim w różnych okresach wielu profesorów z tytułami doktorów i docentów, ponieważ docentury uniwersyteckie nie były w tamtych czasach stanowiskami etatowymi i dawały jedynie tzw. *veniam legendi*, to jest uprawnienia do wykładania z katedry uniwersyteckiej bez gwarancji, że się ową katedrę zdobędzie. [...] W moim gimnazjum wykładali więc przez szereg lat tacy późniejsi luminarze profesury uniwersyteckiej jak Konstanty Wojciechowski<sup>9</sup>, Juliusz Kleiner<sup>10</sup>, Eugeniusz Kucharski,<sup>11</sup> Stanisław Łempicki<sup>12</sup> historyk i Zygmunt Łempicki<sup>13</sup> germanista, Tadeusz Czeżowski<sup>14</sup> filozof, Kazimierz Sośnicki<sup>15</sup> pedagog [...] i wielu innych.

Rolę szczególną odegrali w mojej biografii indywidualnej oczywiście poloniści, przede wszystkim dr Juliusz Balicki<sup>16</sup>, współautor z lwowskim poetą Stanisławem Maykowskim<sup>17</sup> najpiękniejszych książek do nauki języka polskiego w niższych klasach ówczesnego gimnazjum: *Kraj lat dziecinnych*, *Będziem Polakami*, *Miej serce*. Jedną z tych książek (*Będziem Polakami*) ofiarował mi Balicki w klasie II w nagrodę za wyróżnione w konkursie zadanie z serdeczną dedykacją. Balicki był tym moim nauczycielem, który już w tych latach przesądził definitywnie całą moją przyszłość życiową. Z wdzięcznością wspominam też moich późniejszych nauczycieli – po odejściu Balickiego do Warszawy na wysokie stanowisko ministerialne – wybitnego pisarza Stefana Grabińskiego<sup>18</sup>, Zygmunta Żurawskiego, który mnie uczył najdłużej, i doktora Władysława Stabryłę<sup>19</sup>, który patronował mojej maturze, a w późniejszym życiu zaszczycał mnie swoją przyjaźnią (s. 1841–1844). [...]

<sup>9</sup> Konstanty Wojciechowski (1872–1924) – historyk literatury polskiej, zwłaszcza okresu oświecenia i romantyzmu, nauczyciel gimnazjów w Stryju i we Lwowie, od 1916 r. profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, autor licznych prac monograficznych oraz syntezy *Dzieje literatury polskiej* (Lwów 1926).

<sup>10</sup> Juliusz Kleiner (1886–1957) – historyk i teoretyk literatury, badacz romantyzmu polskiego, monografista wielkich poetów tej epoki; profesor UJK we Lwowie, po II wojnie światowej – KUL w Lublinie i UJ w Krakowie.

<sup>11</sup> Eugeniusz Kucharski (1880–1952) – historyk i teoretyk literatury, badacz twórczości Aleksandra Fredry, profesor UJK we Lwowie, po wojnie – profesor UMK w Toruniu.

<sup>12</sup> Stanisław Łempicki (1886–1947) – historyk kultury, historyk literatury, badacz epoki renesansu, nauczyciel galicyjskich gimnazjów (Horodenka, Borysław, Lwów), profesor UJK we Lwowie; po wojnie – profesor UJ w Krakowie.

<sup>13</sup> Zygmunt Łempicki (1886–1943) – germanista i komparatysta, autor syntezy *Renesans, Oświecenie, Romantyzm* (Warszawa 1923), nauczyciel lwowskich gimnazjów, następnie profesor Uniwersytetu Warszawskiego, zamordowany przez Niemców w obozie w Oświęcimiu 21 czerwca 1943 r.

<sup>14</sup> Tadeusz Czeżowski (1889–1981) – filozof, współtwórca warszawsko-lwowskiej szkoły filozoficznej, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie; po wojnie – profesor UMK w Toruniu.

<sup>15</sup> Kazimierz Sośnicki (1883–1976) – pedagog, filozof, profesor UJK we Lwowie, po wojnie związany z UMK w Toruniu oraz Uniwersytetem Gdańskim.

<sup>16</sup> Juliusz Balicki (1890–1963) – polonista, pedagog, autor prac z zakresu metodyki nauki języka polskiego.

<sup>17</sup> Stanisław Maykowski (1880–1961) – poeta, pedagog, krytyk teatralny, współautor podręczników szkolnych.

<sup>18</sup> Stefan Grabiński (1887–1936) – polski pisarz, autor nowel fantastycznych, należący do reprezentantów nurtu grozy w polskim piśmiarstwie, nauczyciel Artura Hutnikiewicza i przyjaciel domu. Autor *Dziennika* poświęcił mu monografię wydaną w Toruniu w 1959 r.

<sup>19</sup> Władysław Stabryła (1905–1968) – polonista, publicysta, współtwórca Towarzystwa Autorów i Wydawców Prac Naukowych.

Istotną rolę w kształceniu i wychowaniu młodzieży odgrywały również działające w gimnazjum organizacje młodzieżowe: Sodalicja Mariańska, Związek Harcerstwa Polskiego, Organizacja Pracy Obywatelskiej Młodzieży „Straż Przednia”. Przynależność do nich była zupełnie dobrowolna, zależna wyłącznie od decyzji osobistej ucznia. Najwięcej członków miała Sodalicja [...], do „Straży Przedniej”, organizacji piłsudczykowskiej, której najwięcej zawdzięczam w moim wychowaniu obywatelskim, z całej naszej szkoły należało tylko 6 kolegów (s. 1845). [...]

Najwięcej jednak czasu poświęcałem pracy społecznej w „Straży Przedniej”. Organizacja [...] została założona z początkiem lat trzydziestych przez wybitnego polonistę i wychowawcę młodzieży, a jednocześnie jednego z głównych ideologów obozu belwederskiego – Adama Skwarczyńskiego<sup>20</sup>. Wstąpiłem do tej organizacji w 7 klasie gimnazjalnej, a po maturze pozostałem w niej nadal jako instruktor. Lwów był siedzibą Okręgowego Wydziału Wykonawczego [„Straży”], obejmującego swym zasięgiem trzy południowo-wschodnie województwa naszego kraju: lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie. [...] Lokal „Straży” mieścił się w pomieszczeniach użyczonych organizacji przez Książnicę „Atlas”, początkowo przy ulicy Czarnieckiego 12, a później przy Łyczakowskiej 5. W tym lokalu przesiadzałem przez kilka lat prawie we wszystkie popołudnia i wieczory, pełniąc funkcję kogoś w rodzaju sekretarza organizacji. Była to praca najzupełniej bezinteresowna [...] zgodnie z celami i obowiązkami zapisanymi w dekalogu „Straży Przedniej”, której głównym zadaniem było wychowanie młodego pokolenia Polek i Polaków w ideologii ofiarnej i bezinteresownej służby Państwu Polskiemu. Dla mnie osobiście uczestnictwo w pracy strażowej stało się dyrektywą moralną w całej mojej przyszłej działalności życiowej. Wychowaniu postaw tego rodzaju służyły praca samokształceniowa [...], oparta na studiowaniu pism Piłsudskiego, Skwarczyńskiego, Abramowskiego<sup>21</sup> – najwybitniejszych przedstawicieli polskiej demokracji niepodległościowej XIX i XX w. – oraz praca oświatowa w środowiskach polskiej młodzieży pracującej, wśród najuboższych dzieci z peryferyjnych dzielnic Lwowa, organizowanie obozów letnich i zimowych, na których odpoczynek łączył się z pracą dla miejscowego środowiska, opieką nad szkołami wiejskimi, zakładaniem biblioteczek itp. Wypadło mi brać udział w wielu takich obozach jako głównemu kwatermistrzowi [...]. Dzięki tej funkcji zwiedziłem prawie całą Polskę, rozbijając nasze obozowe namioty nie tylko na najbliższych nam Podolu, Wołyniu i Huculszczyźnie, ale także nad morzem, nad jeziorami Szwajcarii Kaszubskiej i Wileńszczyzny (s. 1856–1857). [...]

Co dała mi w ostatecznym bilansie ta moja szkoła? Mówiąc najzwyczajniej, przede wszystkim mocne i rozległe wykształcenie humanistyczne, tak istotne dla pełnego rozwoju młodzieńczej osobowości, jeśli ma się w pamięci, że cała kultura europejska, śródziemnomorska, do której od wieków należymy, wspierała się na dwóch fundamentach – na antyku grecko-rzymskim i na chrześcijaństwie. Wykształcenie tego rodzaju i związane z nim treści wychowawcze wytwarzało w wychowankach tej szkoły tę szczególną formację duchową, intelektualną i światopoglądową, której wyznacznikami stała się dla nas trwała pamięć historyczna i utwierdzona dzięki niej wierność tzw. imponderabiliom, tj. pewnym wartościom i normom nietykalnym zachowań i postępowania, takim jak honor, prawdomówność, uczciwość, pracowitość, odpowiedzialność. Rolę szczególną odgrywał silny związek

<sup>20</sup> Adam Skwarczyński (1886–1934) – społecznik i polityk związany z obozem piłsudczyków.

<sup>21</sup> Edward Abramowski (1868–1918) – filozof, socjolog, związany z PPS, bliski przyjaciel Stefana Żeromskiego.

z tradycją i historią narodową [...]. Do mojej wyobraźni chłopięcej szczególnie silnie przemawiali bohaterowie romantyczni: ksiądz Józef Poniatowski, ten polski, narodowy „Książę Niezłomny”, oraz Józef Piłsudski, który wydawał mi się najwspanialszą postacią naszej historii, ideałem i wzorem osobowym (s. 1846–1847).

1 stycznia 1973: Postanowiłem pisać dziennik. Już raz rozpoczynałem podobną imprezę, ale ją szybko porzuciłem z braku wytrwałości. Czy tym razem się uda? I dlaczego to robię? Czy to nie przypadkiem zwyczajna uległość wobec mody coraz bardziej powszechnej? Lektura dzienników i wszelkiego rodzaju pamiętników jest moją pasją od lat wielu i jest to zupełnie zrozumiałe, skoro zwyczajne życie zdaje się prześcigać i bić na głowę najbardziej fantastyczne zmyślenia profesjonalnych beletrystów. Ale moda i szczególne zainteresowanie dla tego właśnie, coraz większą zyskującego poczytność gatunku pisarskiego nie jest tu przyczyna najistotniejszą. Od lat prześladowuje mnie obsesja przemijania, świadomość znikomości naszego efemerycznego istnienia, jakże krótkiego i jak od początku skazanego na absolutną niepamięć. Mam uczucie, że wytwarza się wokół mnie coraz większa pustka, która nieuchronnie i mnie w jakimś momencie pochłonie. Naturalnym odruchem samoobronnym jest chęć zapisania, utrwalenia w tych notatkach mojej iluzorycznej egzystencji. Po co? Dla samego siebie. Może jest to jedyna forma dostępnej człowiekowi „nieśmiertelności”, choć wiem, że jest to tylko złudzeniem. Może owe strzępy teraźniejszości i przeszłości, jakie zamierzam zapisywać na tych kartkach dla siebie, pozwolą mi się jakoś odnaleźć w tym zamęcie naszego pędzącego – ku czemu? – obłąkanego świata.

Wspominałem o tej pustce, jaka wytwarza się nieuchronnie wokół każdego człowieka, gdy przekroczy pewną określoną granicę wieku. Właśnie ostatnie dni roku, który zaledwie minął, uświadomiły mi tę przerażającą rzeczywistość naszego życia wyjątkowo dobitnie (s. 1).

2 stycznia 1973: Czytam obecnie jednocześnie *Dziennik Lechonia*<sup>22</sup> i wspomnienia lwowskie jakiegos Wiktora Frantza<sup>23</sup>. *Dziennik* – cóż to za wstrząsająca lektura. Pomieszenie rzeczy błahych, jakichś anegdot z lat świetności towarzyskiej Lechonia z przerażającymi i przejmującymi obnażeniami duszy, obsesji, lęków, wszystkich tych „demonów”, które przez całe życie aż do tragicznego końca szarpały tym nieszczęsnym istnieniem. Straszliwy dramat emigranta, wygnańca, mizeria życia w ustawicznym borykaniu się z najbardziej prozaicznymi, po prostu materialnymi troskami i kłopotami i z pożerającą, gryzącą nostalgią człowieka, który w istocie poza Polską, poza Warszawą żyć nie mógł. Przenikliwe refleksje nad sztuką i poezją, świadczące o niezawodnej intuicji i jakże trafnym sędzie o różnych efemerycznych „wielkościach” i „rewelacjach”.

W porównaniu z tym dramatycznym zapisem jednej z najciekawszych osobowości psychicznych i poetyckich w naszej kulturze wspomnienia Frantza mimo całego sentymentu, jaki mam dla tego cudownego miasta moich urodzin i młodości, wydały się beznadziejnie blahe, nijakie i nieważne. Jakieś sprawy obojętne, może znaczące dla autora, ale nikogo poza nim nieobchodzące.

<sup>22</sup> J. Lechoń, *Dziennik*, t. I–III, tutaj wspomniana lektura pierwszego wydania [Londyn, 1967–1973].

<sup>23</sup> Wiktor Frantz (1904–1980) – filozof, bibliofil, lwowski dziennikarz; tutaj wspomniany jako autor książki *Odlamki wspomnień przez przetak pamięci przesianych*, Kraków 1972.

1 stycznia 1973.

Postanowiłem pisać dziennik. Już  
raz rozpisywałem podobny impres-  
je, ale z rytmem powracającym z  
braku wytrwałości. Czy tym razem  
mi uda? I dlaczego to robię?

Czy to nie przypadkiem zwycięży-  
ła niegdyś wobec mody czar  
bardziej powściągliwej? Istotnie,  
tekstów dzienników i wszelkiego  
rodzaju pamiętników jest może  
bardziej niż kiedyś, które rep-  
rezentują na dużej planie literatury  
prozę, w ścisłym tego słowa  
rozumieniu jest to niejedna  
zręczność, skoro zjemy zły  
najedliśmy zjemy odaje mi precy-  
zji i bicia na głowę najbardziej  
fantastyczne fizyki; zmyślenie

8 stycznia 1973: Przez dwa dni byłem w Krakowie na habilitacji Wiesława Pawła Szymańskiego<sup>24</sup>. Byliśmy potem u „Wierzynka” na tradycyjnym obiedzie: świeżo upieczony docent z małżonką, przewyższającą go o głowę, recenzenci jego dorobku naukowego: Wyka<sup>25</sup>, Żółkiewski<sup>26</sup> i ja, dziekan Wydziału Rusek<sup>27</sup>, Błoński<sup>28</sup> i jakiś slawista krakowski, którego nazwiska nie zapamiętałem. Blżej mogłem poznać Błońskiego, którego pamiętałem z czasów tuż powojennych jako młodzieńczego ucznia gimnazjalnego w Toruniu. Ponieważ okazał się on człowiekiem bardzo towarzyskim i nadzwyczaj wesołym, przeto od początku powstała atmosfera daleka od oficjalności. Nie lubię na ogół takich wymuszonych przez tradycję obiadów, ale ten był wyjątkowo udany. Pobyt w Krakowie wyzyskałem dla złożenia wizyty od dawna zapowiadanej i od lat niezrealizowanej mojemu gimnazjalnemu profesorowi WF i PW [wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego – G. H.-S.] Kazimierzowi Zychowi. Ten najmłodszy ówczasnie i najelegantszy nasz profesor był powszechnie przez nas lubiany. Miał piękną biografię. Młodzieńczość chłopiec, tuż po maturze poszedł jako ochotnik do wojska, aby walczyć przeciw Rosji w r. 1920. Wojna pokrzyżowała mu studia, które wielokrotnie zaczynał, ale nigdy nie miał możliwości ich skończyć. Zdobył jednakże uprawnienia nauczyciela wychowania fizycznego i usiłował potem przez lat wiele hartować w nas kulturę ciała. Kilkakrotnie był ze mną na obozach strażowych. Po wojnie miał się różnych zajęć, ale zawsze zachował wierność ideałom swojej młodości, nie „dostosowywał” się, już w 56 r. przeszedł na rentę i z niej żyje, dopomagając sobie udzielaniem lekcji prywatnych. Prawie nic się nie zmienił. Włosy trochę posiwiały, ale sylwetka pozostała nadal młodzieńcza. Byliśmy na obiedzie w „Cracovii”, a potem u niego, w jego kawalerskim pokoju. Takie spotkania po latach mają swoisty urok przywoływania najpiękniejszej epoki życia. Wspominania nie mają końca, z głębin pamięci wyłaniają się jakieś czarujące widziadła, urzekający zapach nigdy niezapomnianego przedwiośnia życia. Niekiedy jednak takie konfrontacje teraźniejszości z minionem ujawniają nieoczekiwane bezlitosne okrucieństwo przeznaczeń ludzkich. Zych opowiedział mi o smutnym i bolesnym końcu mego umiłowanego nauczyciela dra Juliusza Balickiego, który najpoważniej zaważył nad moim całym życiem, bo to on sprawił, że zostałem polonistą. Ten elegancki, wytworny młody pan, osobowość niepospolita, trochę neurasteniczna w najlepszym tego pojęcia rozumieniu, trawiona romantycznym Weltschmerzem, genialny nauczyciel, porywający młodzież, autor najpiękniejszych książek szkolnych do nauki języka ojczystego, dyrektor Wydziału Programowego Ministerstwa WR i GP, a potem wizytator Kuratorium Okręgu Szkolnego Wileńskiego, ostatnie dni życia spędził w Tarnowie, w zupełnym zapomnieniu i opuszczeniu, w przerażającym ubóstwie, przez wiele lat na pół sparaliżowany po katastrofalnym upadku bodaj jeszcze w Wilnie. Po jakimś spotkaniu koleżeńskim grupy b. uczniów VI gimnazjum lwowskiego kilku z nich odnalazło swego dawnego profesora w owym Tarnowie. Mieszkał – jak wynikało z ich relacji – w jednym pokoju, przykuty do fotela, zdany na łaskę przygodnych opiekunów, w nieładzie, w zaniedbaniu, wśród

<sup>24</sup> Wiesław P. Szymański (ur. 1932) – profesor UJ, historyk literatury, pisarz, krytyk literacki.

<sup>25</sup> Kazimierz Wyka (1910–1975) – profesor UJ, historyk literatury polskiej, komparatysta, poseł na sejm PRL I kadencji.

<sup>26</sup> Stefan Żółkiewski (1911–1991) – historyk kultury, profesor, współzałożyciel i wieloletni dyrektor IBL, propagator metodologii marksistowskiej w polskiej humanistyce.

<sup>27</sup> Jerzy Rusek (1930–2015) – profesor UJ, slawista, w latach 70. dziekan Wydziału Filologicznego UJ.

<sup>28</sup> Jan Błoński (1931–2009) – profesor UJ, historyk literatury, krytyk, eseista, tłumacz.

straszliwego fetoru, wypełniającego to smutne miejsce opuszczenia. Jest coś gwałtownie protestującego w nas przeciw takim wypadkom zbrodniczej wręcz obojętności społecznej wobec ludzi tak bardzo nieraz zasłużonych dla naszej kultury narodowej. Czyż istotnie wielki, cywilizowany naród nie potrafi się zdobyć na pamięć i należytą opiekę nad tymi najlepszymi i najczcigodniejszymi spośród nas, którzy są zaszczytem naszego kraju? Smutne to i bolesne i obarczające nas wszystkich ciężarem niewybaczalnej winy (s. 12–13).

21 stycznia 1973: Tadeusz Żychiewicz zainaugurował w „Tygodniku Powszechnym” generalną dyskusję na temat odnowy liturgicznej w Kościele posoborowym. Sprawa była od dawna odczuwana jako nagląca konieczność, zbyt wiele zamętu wywołała i wywołuje. Jak można było łatwo przewidzieć, posypały się na śmiałka gromy, choć nie zabrakło mu też głosów solidarności. Żychiewicz ma oczywistą rację. Całe to *aggiornamento*<sup>29</sup> miało od początku charakter jakby działania w lęku, w panice, w obawie, aby się broń Boże nie spóźnić, aby za wszelką cenę przypodobać się zblazowanemu światu, aby zyskać jego łaskawość za cenę przystosowania. Reforma poszła tak daleko, że dozwolone jest nieomal wszystko, nie tylko big-beat jest tolerowany w Kościele, ale i sam kościół można przenieść do knajpy i celebrować mszę w obszarpanych swetrach i dzinsach, na drewnianych talerzach i w cynowych kubkach zamiast pateny i kielicha. Sam rytuał mszalny zamienił się w ustawiczną gadaninę celebransa, ministrantów i wiernych, w ustawiczną musztrę, wstawanie i siadanie, o jakimkolwiek skupieniu, koncentracji, jakimś intymnym wejściu w siebie, o kontakcie z Tajemnicą w jakimś indywidualnym misterium duszy nie ma nawet mowy, bo cię ustawicznie podrywają głosy atakujące twój słuch i świadomość nieustającą wibracją aparatury nagłosowej. Wygnano z liturgii zupełnie cudowną łacinę, ten wspomniały język sakralny, który był zarazem jakimś czynnikiem jednoczącym, bo gdziekolwiek wszedłeś, w jakimkolwiek kraju do katolickiego kościoła, byłeś jak w domu, w tym samym Domu Ojca, w którym ksiądz, Niemiec, Francuz czy Włoch, Węgier czy Chorwat zwracał się do ciebie tymi samymi słowami, które słyszałeś od dzieciństwa. Wygnano z kościołów zupełnie cudowne śpiewy, zamilkły niemal organy, ten najwspanialszy instrument, nie ma mowy, aby można było jeszcze usłyszeć gdziekolwiek skrzypce albo śpiew solowy. Oczywiście słyszysz już oburzone głosy neofitów postępu: opery mu się zachciewa. Ale dlaczego miałoby być rzeczą zdrożną chwalić Boga na sposób najwspanialszy, na jaki może się zdobyć geniusz ludzki. A więc Bach, Palestrina nie mają już debitu w kościele XX stulecia? *Ave Maria* Gounoda czy Schuberta, *Medytacja* Masseneta są już nie do strawienia dla gustów kształconych na hałaśliwym zgiełku gitarzystów. Być może jestem konserwatystą i rozumiem pojęciami mojej młodości, ale trudno mi zrozumieć tę nerwowość w wyzbywaniu się tradycji wieków. Kościół nie potrzebuje *aggiornamento*, zwłaszcza takiego, nie musi się przypochlebiać światu. Wręcz przeciwnie, właśnie jego siła zawierała się zawsze w niezmienności jego form istnienia. Był skałą trwającą zwycięsko pośród burzliwych nurtów kłębiącego się życia, przewalającego się u stóp skały potopu dziejów. Właśnie dlatego, że przyśpieszenie naszej egzystencji jest we współczesnym świecie tak gwałtowne, tak niekiedy ponad wytrzymałość naszej kondycji i struktury

<sup>29</sup> *Aggiornamento* [wł.] – 1. dostosowanie się do aktualnych potrzeb, 2. program reform w Kościele Katolickim wprowadzanych po Soborze Watykańskim II.

psychofizycznej, pragniemy i szukamy tak bardzo jakiegoś punktu stałego. Pośród powszechnej zmienności Kościół zawsze to dawał, ponieważ zawsze się uważał za strażnika i depozytariusza tradycji. Dlaczego więc rezygnuje z tego, co było zawsze jego największą siłą. Oczywiście, nawet w tej pośpiesznej reformie jego Założyciel pozostaje ten sam, depozyt wiary niewzruszony, dogmat nietknięty, ale owe „zewnątrzne” akcesoria kultu, to, co narosło w rytuale, w wewnętrznej obyczajowości Kościoła w ciągu długich stuleci, nie jest sprawą, którą można dekretować i negatywnie przesądzać bez oglądania się na skutki i implikacje, których niepodobna przewidzieć. Żychiewicz ma zupełną rację, „odnowę” również należałoby systematycznie „przewietrzać”, korygować ją życiem, a może nawet wycofać się dyskretnie z postanowień i decyzji nazbyt pochopnych.

30 stycznia 1973: Dziś odwiedził mnie młody człowiek z „Tygodnika Kulturalnego”, aby zrobić wywiad na temat uniwersytetu. Główny problem, który postawił, to czy nie odczuwamy tutaj w Toruniu kompleksu prowincji. Ciekawe, że tak często wysuwa się to zagadnienie w rozmowach różnych etranżerów. Jest to rzecz jasna nonsens i wierutna bzdura, właśnie usytuowanie miasta od zgiełku i gonitwy świata, piękna architektura, stara i nowoczesna, bogactwo kwiatów i zieleni, Wisła i pobliskie wspaniałe lasy predestynują Toruń do roli jakby polskiego Cambridge czy Oxfordu. Dogodne kontakty z innymi ośrodkami naukowymi, bliskość Poznania i Warszawy zabezpieczają środowisko uniwersyteckie miasta przed izolacją. Oczywiście o randze uniwersytetu decydują ludzie, a nie mury i otoczenie naturalne. Błędna polityka personalna, forytująca miernoty, a chętnie pozbywająca się jednostek wartościowych, lecz niezależnych, poczyniła poważne szkuby w zasobach ludzkich uniwersytetu, ale świadomość tych błędów stwarza klimat nadziei. Najistotniejsze to jednak przywiązanie jednostek do tego miejsca, poczucie odpowiedzialności za przyszłość tego warsztatu pracy. To decyduje i rozstrzyga, to właśnie każe mi tu trwać. Jestem tutaj, nie gdzie indziej, potrzebny i tu chcę pozostać do końca (s. 27).

12 lutego 1973: Byłem onegdaj na *Weselu* Andrzeja Wajdy według Wyspiańskiego. Po *Popiołach*<sup>30</sup>, których sens ideowy i historiozoficzny Wajda całkowicie wypaczył, nie mam zaufania do tego skądinąd utalentowanego zapewne reżysera. Wajda nie czuje historii polskiej albo usiłuje walczyć z tym, co jemu wydaje się bezpłodnym i niebezpiecznym romantyzmem, a w czym ja widzę konieczność, jeśli mamy istnieć i przetrwać jako naród. Film jest interesujący optycznie. Kamera potrafi tak ująć sytuacje i sceny, jakich nie zdoła przedstawić żadna realizacja teatralna. Wajda wyprowadza zresztą bronowickich weselników poza ciasne pudło „chaty rozśpiewanej” w mroczny, przedranny plener i te pejzaże impresjonistyczne są niezapomniane. Podobnie problem widm dało się przy pomocy środków filmowych rozwiązać o wiele artystycznie i poetycko urokliwiej niż przy udziale grubych, materialnych narzędzi teatru. Niemniej całość nie zadowala. Język Wyspiańskiego, miejscami przecież, w tym dramacie szczególnie, niezwykłej urody i o przejmującej sile wyrazu, dociera tu już tylko w jakichś żalonych strzępach, ginąc w piekielnym hałasie, na którym oparta została cała poetyka filmowa pierwszego

<sup>30</sup> Andrzej Wajda (1926–2016) wyreżyserował *Popioły* (ekranizację powieści Stefana Żeromskiego) w 1965 r., a w 1973 zrealizował film, który jest adaptacją dramatu *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego.

aktu. Z subtelnej poezji tego przecież dramatu poetyckiego zrobił Wajda jakieś pijackie zbiegowisko, gdzie coś tam płacze się po głowach biesiadników w alkoholowych majaczeniach, ale nie ma w tym wszystkim nic z wewnętrznego dramatu i tragedii sumień. Kto *Wesela* nie ma świeżo w pamięci lub nie przeżył go najgłębiej prywatnie, nic z tej Wajdowej pijackiej orgii nie zrozumie. Przy ogólnej koncepcji filmu akt trzeci niczym się nie tłumaczy, a jego poetyka somnambulicznej katalepsji klóci się jaskrawo z naturalistycznym weryzmem aktów poprzednich (s. 33–34).

18 lutego 1973: Byłem dziś na inauguracji Roku Kopernikańskiego<sup>31</sup> w nowej auli uniwersyteckiej. O ile gmach rektoratu raczej się nie udał, z zewnątrz przypomina dom towarowy, a wewnątrz przeraża swoją ciasnotą i duchotą, aula jest obiektem ze wszech miar udanym; przestrzenny hall, wygodne garderoby, sama zaś sala, zbudowana amfiteatralnie, wyłożona okładziną drewnianą, o wygiętych i ruchomych stropach jest niewątpliwie osiągnięciem uniwersytetu i miasta.

Po oficjalnościach odbył się koncert muzyki renesansowej w wykonaniu zespołu Cantores minores Vratislavienses oraz Filharmonii Pomorskiej, która dała polską prapremierę *Kosmogonii* Pendereckiego. Ta nowoczesna muzyka robi jednak wrażenie. Operowanie nie tylko dźwiękiem, ale i wszelkiego rodzaju efektami akustycznymi „naturalnymi”, całym rozległym bogactwem odgłosów świata szmerów, stuków, hałasów, szepcótów, syków, w pomieszeniu z głosami chórów ludzkich oddaje niezwykle sugestywnie jakby kosmiczną polifonię, potężny oddech wszechświata.

Profesorów, stosunkowo nielicznych, umieszczono niemalże w kącie, piętnaście rzędów na przedzie przeznaczając dla „gości”, wśród których, sądząc po wieku, przeważali najrozmaitsi „aktywiści” młodzieżowi. Konrad Górski<sup>32</sup> skarżył mi się, że początkowo w ogóle nie otrzymał zaproszenia i dopiero w ostatniej chwili Biskup<sup>33</sup> niemal siłą wymusił je w prezydium miasta. Oto *signum* czasu. Nawet w święto rocznicy Kopernika, bądź co bądź naukowej, we własnym gmachu uniwersyteckim profesorowie są zaledwie tolerowani.

13 marca 1973: Na cmentarzu w Grzybnie znajduje się zdewastowany mocno przez Niemców grobowiec ks. Stanisław Kujota<sup>34</sup>, jednego z najbardziej zasłużonych krzewicieli polskości na Pomorzu w czasach zaborczych, prezesa Towarzystwa Naukowego<sup>35</sup>. Czując się powołani do uporządkowania tego grobu, na ostatnim walnym zebraniu Towarzystwa postanowiliśmy opodatkować się dobrowolnie w wysokości 30 zł na członka w tym właśnie celu. Zbiórka wymaga jednakowoż akceptacji władz. Władze zaś skorzystały z pretekstu i postanowiły zaatakować publicznie w prasie reżimowej kurię chełmińską za rzekomą obojętność wobec miejsca spoczynku zasłużonego kapłana. Mają to zrobić wybrani, partyjni członkowie Towarzystwa. Oczywiście ks. Kujot jako reakcyjny

<sup>31</sup> 19 lutego 1973 r. przypadała 500. rocznica urodzin Mikołaja Kopernika, a cały ten rok był obchodzony jako Rok Kopernikański, szczególnie uroczystie celebrowany w Toruniu.

<sup>32</sup> Konrad Górski (1895–1990) – historyk i teoretyk literatury, edytor, mickiewiczolog, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie; po wojnie – UMK w Toruniu.

<sup>33</sup> Marian Biskup (1922–2012) – historyk, badacz historii Pomorza, profesor związany z UMK.

<sup>34</sup> Ks. Stanisław Kujot (1845–1914) – ksiądz katolicki, historyk, badacz historii Pomorza, organizator i wieloletni prezes TNT, w ostatnich latach życia – proboszcz parafii w Grzybnie.

<sup>35</sup> Toruńskie Towarzystwo Naukowe (TNT) – najstarsze stowarzyszenie naukowe na Pomorzu, założone w 1875 r.



„klecha” nic a nic owych towarzyszy z KW nie obchodzi *de facto*, ale nadarza się sposobność hecy antykościelnej. Więc diabeł ubrał się w ornat i ogonem na mszę dzwoni. Najszlachetniejsza inicjatywa musi być w tym kraju wywrócona na nice i użyta na złe, do walki Polaków przeciw Polakom. Górski, Biskup i ja chcemy więc załatwić sprawę własnym sumptem i kosztem, aby uczynić ów ewentualny atak prasowy bezprzedmiotowym. Górski zadeklarował 4, a ja 2 tysiące.

15 marca 1973: Czytam teraz urywkami, powoli księgę zbiorową poświęconą pamięci Stanisława Pigoń<sup>36</sup>. Jest tam znakomita, napisana przez Wykę, próba rekonstrukcji obrazu osobowości Profesora. Cóż to za piękny człowiek. Złączył w sobie wszystko najlepsze, co ma w sobie chłop, i wszystko najpiękniejsze, co dać może ukształcenie umysłowe. W sumie przykład najdoskonalszy dorastania chłopca polskiego do pełni uświadomienia narodowego, do czynnego uczestnictwa w tworzeniu historii i kultury swego narodu i utwierdzenia się w poczuciu osobistej odpowiedzialności za los zbiorowy. Pigoń, inteligent w pierwszym pokoleniu, nie wyrzekając się swych związków z warstwą, z której wyszedł, był już przecież tylko Polakiem (s. 47–48). [ ... ]

12 kwietnia 1973: Cały dzień robiłem korektę mojego wstępu do wydania *Szyfowych prac* Żeromskiego w „Bibliotece Narodowej”. [ ... ] Najwięcej sprawia mi zadowolenia wyraźna, jak sądzę, aluzyjność tego tekstu. Staralem się go tak napisać, aby był on czytelny w kontekście współczesności, bo powieść wciąż, niestety, w swojej warstwie problemowej zachowuje walor aktualności. W pierwotnej wersji tekstu wstęp kończył się następująco:

Wydana przed osiemdziesięciu bez mała laty, pozornie należąca do epoki bezpowrotnie minionej i odtwarzająca stosunki, które są już historią, /powieść/ w istocie jednak nic nie straciła ze swej żywej aktualności. Historyczna raczej w warstwie faktów, w swoim nurcie najgłębszym, ideowym jest jak najbardziej współczesna. Praca bowiem nad zachowaniem i utwierdzeniem materialnej i duchowej suwerenności i osobowości Polaków jest działaniem nieustającym, przekazywanym z pokolenia na pokolenie, jest jedynym wyrazem samoświadomości i jedyną możliwą formą egzystencji narodu.

Otóż redaktorzy serii uznali, że „te trzy zdania wstępu muszą być koniecznie usunięte”. Nie będzie więc ich, ale sądzę, że całość tekstu dla umiejących czytać i myśleć będzie i tak dostatecznie wymowna.

Od Zakrzewskiego<sup>37</sup> dowiedziałem się w Warszawie, że cenzura znów przyczepiła się do mego przemówienia na jubileuszu Floryana<sup>38</sup> ze względu na fragmenty wspomnieniowe związane ze Lwowem.

14 kwietnia 1973: Skończyłem trzyarkuszowy szkic historii literatury polskiej okresu II Niepodległości, przeznaczony dla wydawnictwa zbiorowego „Konfrontacje histo-

<sup>36</sup> Stanisław Pigoń (1885–1968) – historyk literatury, edytor, badacz literatury romantyzmu, profesor, od czasu studiów związany z UJ w Krakowie.

<sup>37</sup> Bogdan Zakrzewski (1916–2011) – historyk literatury polskiej, badacz polskiego romantyzmu, profesor, związany z Uniwersytetem Wrocławskim.

<sup>38</sup> Władysław Floryan (1907–1991) – historyk literatury polskiej, edytor, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego.

ryczne” pod redakcją Leśnodorskiego. Taki szkic jest robotą wyjątkowo trudną, bo na 40 stronach trzeba zamknąć obraz życia literackiego lat dwudziestu. Sprawą podstawową jest tu zagadnienie selekcji (kogo można pominąć) i proporcji (ile zdań lub słów można poświęcić temu lub owemu zjawisku). Subiektywizm jest tu oczywiście nieunikniony, ale ważne jest również, by własne rozeznanie, odczucie lub po prostu upodobania nie rozmijały się zbyt jaskrawo z jakąś intuicyjnie wyczuwaną i przez *consensus omnium* przyjętą hierarchią wartości. Toteż siedziałem niekiedy nad jednym zdaniem i pół godziny. Ująć najściślej i najzwięźlejszą istotę rzeczy i znaleźć dla tej myśli możliwie najprostszą i najjaśniejszą pojęciowo formułę językową – oto jest zadanie. Nawet jeśli się wybrnie w końcu z wszystkich trudności i tego wściekłego mordowania się z oporem słów, nigdy nie ma się pewności, czy się robotę wykonało uczciwie, czy się tam czegoś nie spłyciło, nie uprościło, nie załatwiło bezwiednie jakimś pustym frazesem (s. 61–62).

20 kwietnia 1973: Wielki Piątek. Ten dzień kiedyś, w dzieciństwie i w młodości, w tamtym mieście miał swój szczególny i podniosły urok, swój ustalony porządek, któremu podlegał każdy i nieodwołalnie. Był to przede wszystkim dzień odwiedzania tzw. Bożych Grobów. Całe miasto w popołudniowych godzinach wylegało na ulice i wielotysięczne tłumy przeciągały z jednego krańca na drugi, odwiedzając kościoły i podziwiając symboliczne krypty grobowe Ciała Pańskiego. Kwiecień we Lwowie niósł z sobą ciepłe poduchy z Czarnomorza i wiosna była już we drzwiach. Mieszkaliśmy na Łyczakowie i stamtąd zaczynało się ową pobożną wędrówkę. Najpierw odwiedzało się mały kościółek parafialny św. Antoniego, do którego co dzień wstępowałem przed godz. 8 w drodze do gimnazjum, aby westchnąć i zapewnić sobie boską opiekę w zmaganiach szkolnych. Potem ulicą pod wezwaniem tego samego świętego szło się w górę ku ul. Kurkowej, gdzie na wzniesieniu krył się w ogrodach cichy, przeważnie zamknięty kościół franciszkanek, który był naszym kościołem gimnazjalnym; tu chodziliśmy parami w każdą niedzielę na naszą szkolną mszę, do której służyliśmy kolejno wszyscy. Potem ul. Kurkową podążało się w stronę centrum miasta, wstępując po drodze do kościoła franciszkanów przy bocznej ulicy tego imienia. U wylotu Kurkowej, na wysokim wzgórzu, królującym nad rozłożonym w kotlinie starym miastem, już poza murami i fosami, z których pozostała tylko jedna stara Baszta Prochowa na Wałach Gubernatorskich, wznosił się kościół karmelitów z cudownym obrazem Chrystusa krzyż dźwigającego, do którego szczególne nabożeństwo miała moja Matka. Stamtąd szerokimi, zmurszałymi kamiennymi schodami i wijącymi się ścieżynami schodziło się ku miastu, ku jego najstarszej części wewnątrz ongiś murów obronnych. Między Wałami, Rynkiem i cudowną kampaniłą Cerkwi Wołoskiej rozciągał się Plac Dominikański, a na nim kościół dominikanów, jedna z najpiękniejszych we Lwowie świątyń barokowych w kształcie rotundy, z wysoką kopułą, o wnętrzu nieskazitelnie białym, delikatnie tylko zdobionym ciemnym marmurem i złotą inkrustacją. Kościół, w którym zostałem ochrzczony, bo urodziłem się tuż obok, przy ul. Ormiańskiej, w cieniu orientalnej katedry. Wąziutką i krótką ul. Dominikańską przechodziło się na Rynek, potem wzdłuż jego północnej pierzei i przez równie krótką ul. Trybunalską na plac tegoż imienia, gdzie wznosił się drugi cud lwowskiej architektury barokowej, przewyższający dominikanów przepychem wnętrz bogato polichromowanych kościoł jezuitów, znany z tego, że był kościołem garnizonowym i że tu odprawiały się najpóźniejsze niedzielne msze, dla śpiochów i dla leniuchów, bo o godz. pół do pierwszej. Z kościoła

jezuitów było już tylko parę kroków przez Plac św. Ducha i ul. Rutowskiego do katedry łacińskiej, surowej, ciemnej, gotyckiej, obudowanej bokami wspaniałymi kaplicami renesansowymi i barokowymi. Ostatnim etapem pielgrzymki był zazwyczaj kościół bernardynów, ten najbardziej charakterystyczny dla lwowskiego pejzażu pomnik jego sztuki sakralnej. Grób u bernardynów był zawsze najpiękniejszy. Nad ciałem Ukrzyżowanego, leżącym w powodzi kwiatów, rozpięto się wysokie aż po łuki sklepienia malowidło, przedstawiające Golgotę w płomieniach konającego dnia i w mrokach naglej nocy, która spadła na ziemię w momencie agonii Boga. Tłumy ludzkie tutaj zatrzymywały się najdłużej, zawsze pod tym samym silnym wrażeniem dramatycznej i przejmującej wizji. A potem długą ul. Łyczakowską, wśród zapadającego zmierzchu i świateł pierwszych zapalających się latarni gazowych, powoli wracało się do domu. Było to cudowne przeżycie i jakby skupione przygotowanie do triumfalnych dzwonów niedzielnego poranka.

Ostatni raz odbyliśmy taką wędrówkę w r. 1945, poszliśmy gromadą przyjaciół, ja, Julek Dublewski, Dziażdż Bachmanówna i Ewa Dworska. Jakby przeczuwając, że to będzie zarazem ostatnie pożegnanie z naszym miastem rodzinnym, rozszerzyliśmy tę wędrówkę niemal aż po najdalsze krańce dzielnic, do których nigdy nie docieraliśmy poprzednio, aż na Janowskie i Gródeckie, do starego kościółka św. Anny, neogotyckiej, monumentalnej św. Elżbiety i unoszącej się na wzgórzu u zbiegu ulic Sapiehy, Sykstuskiej i Kopernika Marii Magdaleny. Wracaliśmy zmordowani, wlokąc zbolale nożyska, ale szczęśliwi, nie bardzo jeszcze zdający sobie sprawę, że to raz ostatni. A dziś lwowskie kościoły stoją głucho zabite, puste, martwe, bez duszy, dopiero teraz przeżywające swoją mękę krzyża i śmierci (s. 64–65).

16 czerwca 1973: Dziś o godz. 9 rano zmarł mój teść Michał Łucki. Przeżył 93 lata. Od długiego czasu nie wychodził już z domu, zsychał się, kurczył, gasł. Na miesiąc przed śmiercią przestał przyjmować pokarmy, nie łaknął, nie odczuwał głodu. Z silnego i umięśnionego mężczyzny robił się ludzki wiórek. Ongiś był kawalerzystą, najpierw w c.k. armii austro-węgierskiej, później w Wojsku Polskim. Nic z tego nie zostało. Gdyby nie ta nadzieja nieśmiertelności, którą daje religia, życie ludzkie byłoby pełnym absurdem. Cała kruchość i znikomość naszego przelotnego istnienia uświadamia nam się z przeraźliwą oczywistością w momencie śmierci. Człowiek odchodzi w jakąś ciemność nieznaną, pozostawiając w rozpacz tylko garstkę najbliższych, którzy również wkrótce o nim zapomną, bo zagarnie ich życie nieznaną spoczynku i pędzące na oślep ku jakimś niewiadomym i niepojętym przeznaczeniom.

Po raz drugi wypadło mi w życiu tak z bliska, bezpośrednio obserwować śmierć. Przed siedmiu laty tak samo pochylałem się samotnie nad moją konającą matką. Byliśmy z Zosią na wakacjach, ale 1 sierpnia wybrałem się na jeden dzień do domu dla podjęcia poborów i sprawdzenia, jak się wiedzie bez nas naszym rodzicom. Przyjechałem wieczorem i zastałem swoją matkę w stanie agonii, choć jak informowała mnie nazajutrz gosposia, jeszcze tegoż wieczora zjadła normalnie kolację i nic nie zapowiadało żadnej katastrofy. Po ułożeniu się do snu nastąpił najprawdopodobniej wylew krwi do mózgu, który sparaliżował wszystkie centra ważne dla życia. Mimo wysiłków lekarzy żyła jeszcze tylko przez dobę. Pamiętam tę chwilę, gdy krążąc w rozpacz i najwyższym niepokoju, tknięty instynktem czy przeczuciem wszedłem w pewnym momencie do jej pokoju. Była zupełnie nieprzytomna, bił od niej żar wysokiej gorączki, oddech stawał się coraz bar-

dziej ciężki, jakby pracujący z najwyższym trudem. Nagle pochylony nad chorą usłyszałem z przerażeniem, jak serce zawahało się, zatrzymało na chwilę, aby zerwać się na nowo do pracy, ale już z jakimś niepewnym potykaniem się, w jakimś chaotycznym kołataniu, które stawało się coraz słabsze, coraz bardziej bezsilne i bezradne, aż zupełnie zamilkło. To był już koniec. Nie mogłem przez długą chwilę ogarnąć świadomością prawdy tego zdarzenia, nie mogłem tego pojąć, że ta kobieta, która mnie urodziła, której wszystko zawdzięczałem i z którą przeżyłem całe życie, opuściła mnie w tej chwili na zawsze.

25 lipca 1973: Dziś o godz. 4 rano udałem się na cmentarz, aby być obecnym przy ekshumacji prochów mojej matki. Chcemy, aby wszystkie nasze groby były kiedyś razem i stąd te przenosiny na wspólne miejsce. Trumna po 8 latach jeszcze się trzymała jako tako, choć wieko można było odchylić bez najmniejszej przeszkody, gdyż wszystkie gwoździe przeżarte rdzą wypadły, deski trumny zmurszały. Grabarz pytał mnie, czy chcę zajrzeć do środka, ale zrezygnowałem. Wolałem zachować obraz taki, jaki utrwalił mi się w pamięci w ostatniej minucie przed zamknięciem wieka. Zresztą najprawdopodobniej nic już tam nie było, w zwłokach ludzkich odbywają się samoczynne procesy i reakcje chemiczne, prowadzące do całkowitego rozpadu i unicestwienia. Obecny przy ekshumacji przedstawiciel Sanepidu opowiedział mi o niedawnym otwarciu grobu małego dziecka, zmarłego kilkanaście lat temu. Trumienka zachowała się nad podziw doskonale, ale gdy ją otwarto, znaleziono wewnątrz zupełnie puste, zachowała się jedynie grzechotka, którą dziecku do trumienki włożono. Żalсна znikomość i nietrwałość rzeczy ludzkich; istotnie jesteśmy tylko prochem i niczym więcej.

27 lutego 1978: Wróciłem przed chwilą ze szpitala i siedzę sam w tym przeraźliwie pustym mieszkaniu. W sercu rozpacz i ciemność. To chyba początek końca. Chora jest już tylko umęczonym i wijącym się z bólu ciałem. Nawet nie chce, bo nie może ze mną rozmawiać. Boję się tego, co się zbliża. Boję się jej cierpienia, buntuje się we mnie wszystko przeciw tej niezasłużonej krzywdzie. Dlaczego, dlaczego – powtarzam bez sensu to pytanie. Tak chciałem, aby jeszcze chociaż trochę była szczęśliwa, aby mogła się cieszyć słońcem, zielenią i pięknnością świata, chciałem jej pokazać ten świat, którego nigdy nie widziała, a teraz wszystkie te plany, pragnienia i zamiary leżą w gruzach. Jeśli to się stanie, nie potrafię sobie wyobrazić w tej chwili mojej straszliwej samotności, swojego dalszego życia w pustce czterech ścian. Ona, jej obecność, jej cierpliwe czekanie na mnie, gdy wracałem wieczorem po pracy albo z jakiejś podróży, to był dom i ten dom teraz się wali (s. 570–571).

31 marca 1978: Dziś o godzinie 17.35 umarła Zosia (s. 737).



Zofia Hutnikiewicz z domu Łucka, żona Artura Hutnikiewicza,  
fot. Archiwum prywatne

2 marca 1980: Dwa bandyckie mocarstwa idealnie się porozumiały ze sobą i po dokonaniu czwartego rozbioru Polski stosowały identyczne metody wyniszczenia żywej substancji podbitego narodu. Niemcy wywozili do Oświęcimia, do Dachau, Stutthoffu, Sachsenhausen – Rosjanie do łagrów na dalekiej północy, do Workuty, Kołymy i w kazachstańskie stepy. Wywożono wszystkich, którzy padli ofiarą jakichkolwiek choćby nie sprawdzonych donosów byle kanałii, wszystkich, których pomawiano o związki z polską władzą państwową, którzy uciekając przez inwazją niemiecką, schronili się na wschodnich obszarach Polski, polowano wyjątkowo zaciekle na osoby związane przed wojną z radykalną lewicą niekomunistyczną. Szalała denuncjacja i prowokacja. Ofiarą bezpodstawnych oskarżeń padli ludzie nauki, kultury i literatury: Broniewski<sup>39</sup>, Parnicki<sup>40</sup>, Gru-

<sup>39</sup> Władysław Broniewski (1897–1962) – poeta, autor rewolucyjnych wierszy, legionista, później polski komunista, aresztowany w styczniu 1940 r. we Lwowie, uwięziony w areszcie na Zamarstynowie, a następnie w Moskwie na Łubiance. Opuścił ZSRR z Armią gen. Władysława Andersa.

<sup>40</sup> Teodor Parnicki (1908–1988) – autor powieści historycznych, aresztowany we Lwowie w 1940 r., zesłany w głąb Rosji, opuścił ZSRR z Armią Andersa.

biński<sup>41</sup>, Wat<sup>42</sup>, Naglerowa<sup>43</sup>, Obertyńska<sup>44</sup>, Skwarczyńska<sup>45</sup>, wywożono nie tylko osoby podejrzane, ale i całe ich rodziny na potwornej zasadzie odpowiedzialności zbiorowej. Tak wywieziono całą dobrze mi znaną rodzinę Malskich, matkę, dwie córki i dwóch synów, ich zmarły ojciec był znanym we Lwowie artystą malarzem i profesorem rysunków w gimnazjach lwowskich. Wywieziono moją najbliższą przyjaciółkę z lat dziecińczych Lidie Blicharską z jej mężem artystą malarzem tylko dlatego, że pochodził z Krakowa, a zatem był niepożądanym i podejrzanym „bieżeńcem” z terytorium obcego państwa. Aresztowano i zesłano do ciężkich robót w karnym łagrze na północy mojego bardzo mi bliskiego kolegę z lat uniwersyteckich, ludowca o demokratycznych, bardzo lewicowych poglądach Franciszka Wilka oraz całą rodzinę jego Bogu ducha winnej młodzianki żony Adelki Cetnarowiczówny, naszej młodszej koleżanki ze studiów [ ... ].

4 marca 1980: Zmarł Jarosław Iwaszkiewicz<sup>46</sup> w 86. roku życia, w kilka ledwie tygodni po swej żonie Annie z Lilpopów. Propaganda oficjalna anektuje go dla Polski ludowej, której istotnie służył wiernie. Dbal gorliwie o swą pozycję, o to pierwsze miejsce we współczesnej literaturze, zapomniał o swym życiu pozgonnym. Czy był pisarzem aż tak wielkim, za jakiego sam się uważał i skłonna była go uznawać krytyka współczesna, ulegająca nazbyt często koniunkturalnej atmosferze oficjalnej akceptacji, magii nazwiska, imponującej żywotności i produktywności tego niewątpliwie bardzo wielostronnego autora: poety, powieścio-, dramatopisarza, eseisty i redaktora, dożywotniego prezesa Związku Literatów, to się dopiero w nadchodzącym czasie okaże, gdy badacze, krytycy i historycy literatury, uwolnieni już od psychicznych obciążeń, zaczną się przyglądać temu dziełu *sine ira et studio*. Ale to pewne już dzisiaj, że zepsuł sobie potężnie swoją biografię pisarską pozbawioną godności usłużnością. Był zbyt inteligentny i zbyt obyty w świecie sfer politycznych, w których się przed wojną obracał jako członek służby dyplomatycznej, aby nie zdawał sobie sprawy, że kraj nasz został po wojnie zmiażdżony nowym zniewoleniem od wschodu, że narzucono nam rząd i ustrój najzupełniej sprzeczne z naszą tradycją i pragnieniem, że przytoczono siłą do ościennego mocarstwa, że w istocie cały naród jest przeciw w zdecydowanej i coraz bardziej świadomej opozycji.

22 sierpnia 1980: Dziś pojechałem do Gdańska, mimo że pogoda okropna, zimno i leje. Chciałem naocznie sprawdzić sytuację w samym centrum wydarzeń. Wysiadłem w Gdańsku-Stocznii. Przystanek znajduje się na wprost jednej z bram wjazdowych. Przed bramą, na peronach stacyjnych *vis a vis* tłum ludzi. Brama udekorowana kwiatami, flagami biało-czerwonymi i niebiesko-białą flagą stocznii. Orzeł. Obrazek Matki Boskiej i Papieża

<sup>41</sup> Wacław Grubiński (1883–1973) – dramaturg, prozaik, publicysta, aresztowany w 1940 r. we Lwowie, zesłany w głąb Rosji, którą udaje mu się opuścić w szeregach Andersa.

<sup>42</sup> Aleksander Wat (1900–1967) – poeta futurysta o lewicowych poglądach, aresztowany razem z Broniewskim, zesłany do Kazachstanu.

<sup>43</sup> Herminia Naglerowa (1890–1957) – pisarka, doktor historii, aresztowana we Lwowie w 1940 r., zesłana do Kazachstanu, wychodzi z ZSRR z Armią Andersa.

<sup>44</sup> Beta Obertyńska (1898–1980) – poetka, pisarka (córka młodopolskiej poetki Maryli Wolskiej), lwowianka aresztowana w 1940 r.; etapy zesłania: Kijów, Odessa, Charków, Workuta, wyjście z Rosji z Andersem.

<sup>45</sup> Stefania Skwarczyńska (1902–1988) – teoretyk i historyk literatury, docent UJK we Lwowie, po wojnie – profesor Uniwersytetu Łódzkiego; aresztowana w 1940 r. i zesłana do Kazachstanu.

<sup>46</sup> Jarosław Iwaszkiewicz (1894–1980) – poeta, powieściopisarz, eseista, tłumacz, wieloletni redaktor miesięcznika literackiego „Twórczość”.

Jana Pawła II. Przy bramie i wzdłuż całego muru posterunki straży porządkowej. Przed bramą skarbonka na datki i ofiary na rzecz funduszu strajkowego, słoń pełniący funkcję skarbo-ny jest wypełniony solidnie banknotami. Na murach odezwy i komunikaty międzyzakładowego komitetu startowego, lista żądań i ocen perfidnej taktyki władz, które odmawiając pertraktacji z jedynie upoważnionym przedstawicielstwem robotników, same przedłużają i pogłębiają kryzys. Komitet strajkowy gwarantuje komisji rządowej całkowite bezpieczeństwo. Megafony podłączone do sali obrad informują zebranych przed stoczną o aktualnej sytuacji i o poparciu, jakie ruch strajkowy zaczyna zdobywać w całym kraju. Właśnie, gdy przyjechałem, odczytywano odezwę solidarnościową Związku Literatów Polskich. Ludzie pióra uwrażliwieni są szczególnie na działalność cenzury, toteż w pełni popierają żądania robotników domagających się rewizji dekretu o kontroli prasy i książek, pełnej swobody informacji, wolności wyjazdów za granicę i nieograniczonych kontaktów z całym światem. Tymczasem władze aresztowały ponad dwudziestu członków KOR-u<sup>47</sup> i innych uczestników opozycji demokratycznej, m.in. Kuronia<sup>48</sup>, Michnika<sup>49</sup>, Moczulskiego<sup>50</sup>. To najlepszy dowód, jak władze PRL honorują deklarację helsińską<sup>51</sup>. Zachodnie agencje przekazały informację o potajemnym wyjeździe Gierka<sup>52</sup> do Moskwy, co polska Interpress zdementowała. Ta wiadomość mimo dementi całkowicie prawdopodobna oraz wciąż ponawiany szantaż groźbą interwencji sowieckiej demaskują je bez żadnych osłonek, jakie są granice suwerenności polskiej pod rządami komunistów.

27 sierpnia 1980: Rozmowy Jagielskiego i strajkujących zostały wznowione, ale rozbieżność stanowisk utrzymuje się nadal. Tymczasem strajk zaczyna się rozszerzać na inne obszary kraju, stanęły zakłady Olsztyna, Łodzi, Wrocławia i Rzeszowa. Łączność telefoniczna Wybrzeża z Warszawą została przywrócona. Wieczorem, po dzienniku telewizyjnym nadano obszernie fragmenty homilii kard. Wyszyńskiego na Jasnej Górze<sup>53</sup>. Niestety, tylko fragmenty nawołujące do spokoju, godności, roztropności, uczciwej pracy, a pomijające akcenty krytyki władz i obrony praw jednostek i narodu. Jest stara metoda uciekania się do pomocy autorytetu Kościoła, gdy grunt się chwieje pod nogami i partia zaczyna tracić panowanie nad sytuacją. Ale i w takich momentach usiłuje się dyskontować tylko to, co jest wygodne, przez odpowiednie preparowanie wypowiedzi. Trzeba zaczekać na pełny tekst prymasowskiego kazania. Oczywiście rozważa, roztropność i odpowiedzialność są konieczne wobec ustawicznego szantażu interwencji sowieckiej. Zabrzmiała ona znów w wystąpieniu telewizyjnym osławionego Wojny<sup>54</sup>. Ale robotnicy Wybrzeża w ciągu tych dwu tygodni ujawnili aż nadto swoją polityczną i obywatelską dojrzałość, co nie wyklucza jednak stanowczości i determinacji prowadzenia walki do końca.

<sup>47</sup> KOR – Komitet Obrony Robotników założony w 1976 r. na fali protestów przeciwko represjom wymierzonym w robotników Radomia po strajkach w tym mieście.

<sup>48</sup> Jacek Kuroń (1934–2004) – polityk i publicysta, jeden z przywódców opozycji w PRL po 1968 r., współzałożyciel KOR.

<sup>49</sup> Adam Michnik (ur. 1946) – publicysta, polityk, po 1968 r. jeden z animatorów opozycji w PRL, od roku 1989 redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”.

<sup>50</sup> Leszek Moczulski (ur. 1930) – historyk, publicysta, polityk, założyciel Konfederacji Polski Niepodległej (KPN).

<sup>51</sup> Deklaracja helsińska – nieprecyzyjne określenie; chodzi tutaj o akt końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie z 1975 r.

<sup>52</sup> Edward Gierk (1913–2001) – polityk, działacz komunistyczny, w latach 1970–1980 I sekretarz rządzącej partii PZPR.

<sup>53</sup> Wzmianka dotyczy homilii wygłoszonej na Jasnej Górze przez kardynała Stefana Wyszyńskiego 26 sierpnia 1980 r.

<sup>54</sup> Ryszard Wojna (1920–2003) – dziennikarz, redaktor „Trybuny Ludu”, polityk, działacz PZPR.

9 września 1980: Dziś było pierwsze po wakacjach posiedzenie Rady Wydziału<sup>55</sup>, pierwsze po burzy, jaka przewaliła się przez Polskę. I nic, i cisza, i program obrad tak banalny i stereotypowy, jakby nic się nie stało. Byłem od początku zdecydowany zmącić i rozbełtać to nieruchawe bajorko, ale ubiegł mnie w pewnym sensie doc. Kalemka<sup>56</sup>, zwracając uwagę na dziwne nieprzystosowanie programu obrad do istniejącej sytuacji. Dziekan przewał jednakże tę interpelację, odsyłając ją na koniec do wolnych wniosków.

14 września 1980: Pierwsze wybory do oddziałowej organizacji Związku Zawodowego Solidarność. Stałym delegatem na mój wniosek do prezydium uczelnianego wybrano docenta filologii klasycznej dra Witolda Wróblewskiego<sup>57</sup>, który w ostatnich miesiącach okazał się bardzo aktywnym i zaangażowanym rzecznikiem odnowy. Do zarządu oddziałowego wybrano popieranym przeze mnie p. Agnieszkę Bojarską<sup>58</sup> i dra Sawryckiego<sup>59</sup>, który bardzo ofiarnie prowadził agendy związkowe w okresie przejściowym. Przewodniczącym zarządu wybrano dra Andrzeja Stoffa<sup>60</sup>, mego ucznia, aktualnie zatrudnionego w Zakładzie Teorii Literatury, bardzo odważnego, prawnego, uczciwego i niezależnego w opiniach i działaniu.

Przy okazji tego zebrania dowiedzieliśmy się z relacji Wróblewskiego, który uczestniczył w warszawskim zebraniu komisji porozumiewawczej pracowników szkół wyższych, że nasz uniwersytet jest zupełnie nieprzygotowany do jakiegokolwiek dyskusji na temat reformy szkolnictwa akademickiego, gdy tymczasem inne uczelnie dysponują już gruntownie przemyślanymi kontrpropozycjami wobec przygotowywanego projektu władz. Przez 35 lat zawsze wlekleliśmy się w ognie zdarzeń, zawsze ostatni, gdy chodziło o odwagę śmiałego i twórczego myślenia, zawsze pierwsi w skwapliwym i usłużnym realizowaniu najbardziej bzdurnych pomysłów, wydumanych przy biurkach ministerialnych urzędasów. Zdaje się, że znów nie da się uniknąć nowych starć na radzie wydziału, bo ten bezwład nas jedynie kompromituje.

25 listopada 1980: Studenci ofiarowali mi numer nowego pisemka pod nazwą „Immunitet”, wydawanego w formie powielanej przez nowo utworzony Niezależny Związek Studentów. Numer poświęcony jest w całości rocznicy 11 Listopada, jest w nim portret Marszałka Piłsudskiego i jego życiorys. Podobno rektor<sup>61</sup>, gdy to zobaczył, nieomal nie spadł z fotela z przerażenia, że to nacjonalizm, reakcja. Ale w końcu uległ przekonany przez młodzież, że chodzi tu przecież o rocznicę jedną z największych w naszych dziejach. Komitet redakcyjny ma poważne trudności finansowe i papierowe, bo go nikt oficjalnie nie wspiera. Dałem im dwa tysiące złotych na najpilniejsze potrzeby i zadeklarowałem dalszą pomoc, ile razy będzie potrzebna. W redakcji i wśród autorów przeważają moi seminarzyści: Grażyna Łętowska, Maria Bednarek, Robert Ziemkiewicz. Bezpieka nadal kontynuuje swą działalność w środowisku studenckim, jakby nic się w Polsce w ostatnich miesiąca nie

<sup>55</sup> Chodzi tutaj o Radę Wydziału Humanistycznego UMK.

<sup>56</sup> Sławomir Kalemka (1936–2009) – historyk, badacz historii politycznej XIX i XX w., profesor UMK.

<sup>57</sup> Witold Wróblewski (1938–2014) – filolog klasyczny, profesor UMK.

<sup>58</sup> Agnieszka Bojarska – polonistka, redaktorka w Wydawnictwie Naukowym UMK.

<sup>59</sup> Władysław Sawrycki (ur. 1937) – filolog, metodyk literatury, propagator kultury żywego słowa, wykładowca UMK.

<sup>60</sup> Andrzej Stoff (ur. 1947) – teoretyk i historyk literatury, badacz literatury fantastycznonaukowej i powieści Henryka Sienkiewicza.

<sup>61</sup> W latach 1978–1981 rektorem UMK był prof. Ryszard Bohr (1926–1987), biolog.



zmieniło. Dalej zaprasza się poszczególnych studentów na Bydgoską<sup>62</sup> i proponuje współpracę. Gdy zorientują się o związkach tych studentów z moją osobą, stanie się dla nich wszystko zrozumiałe i jasne: Oczywiście on, ten „sztandarowy przeciwnik Polski ludowej”, jak mnie podobno określono na jakimś konwentyklu partyjnym. Na wykładzie monograficznym dla studentów IV roku omawiam aktualnie niecenzuralne utwory publicystyczne Żeromskiego, niektóre cytowane przeze mnie ich fragmenty pasują jak ulał do rzeczywistości obecnej.

23 kwietnia 2000: Wypuszczony tuż przed Świątami Wielkiejnocy ze szpitala w stanie jakim takim, choć niezwykle zmęczony, przepędziłem dni świąteczne samotnie, dopisując listy niepokojące do tych nielicznych, pozostałych jeszcze przyjaciół, którzy przysłali mi życzenia. W drugie święto telewizja wyświetliła półgodzinny film o mnie pod tytułem *Ja, lwowianin*, bo istotnie głównym wątkiem przewijającym się w całej tej mojej autoprezentacji jest Lwów, moje miasto rodzinne, do którego na zawsze należą, bo jemu, jego ludziom, dziejom, moim szkołom i nauczycielom zawdzięczam wszystko – a więc i samego siebie, jakim jestem i co w moim życiu osiągnąć zdołałem. W filmie znalazły się pejzaże lwowskie, domy, ulice, miejsca mojej młodości, w których uczyłem się Polski Niepodległej, moje pierwsze miłości i mój dramat wygnanego z Ojczyzny. Film jest opowieścią, jakby moją spowiedzią z życia od młodości po dzień dzisiejszy – pierwsze moje lwowskie trzydziestolecie i moje pięćdziesięciolecie toruńskie. Są przyjazne wypowiedzi moich studentów i moich wychowanków, następców, dzisiejszych profesorów, którzy wyszli z mojej ręki i którym zawdzięczam to, co najcenniejsze, wierną ich przyjaźń, której doświadczam co dzień w tych ostatnich zapewne latach mego życia. Film ten pozostanie też, jak mam nadzieję, swoistym dokumentem dziejów polonistyki i humanistyki toruńskiej, której byłem współtwórcą od najpierwszych początków i najdłużej pracującym nauczycielem.

Wybór i opracowanie:  
*Grażyna Halkiewicz-Sojak*

---

<sup>62</sup> W Toruniu przy ul. Bydgoskiej mieścił się podówczas Urząd Wojewódzki Milicji Obywatelskiej, a w jego obrębie Służba Bezpieczeństwa.